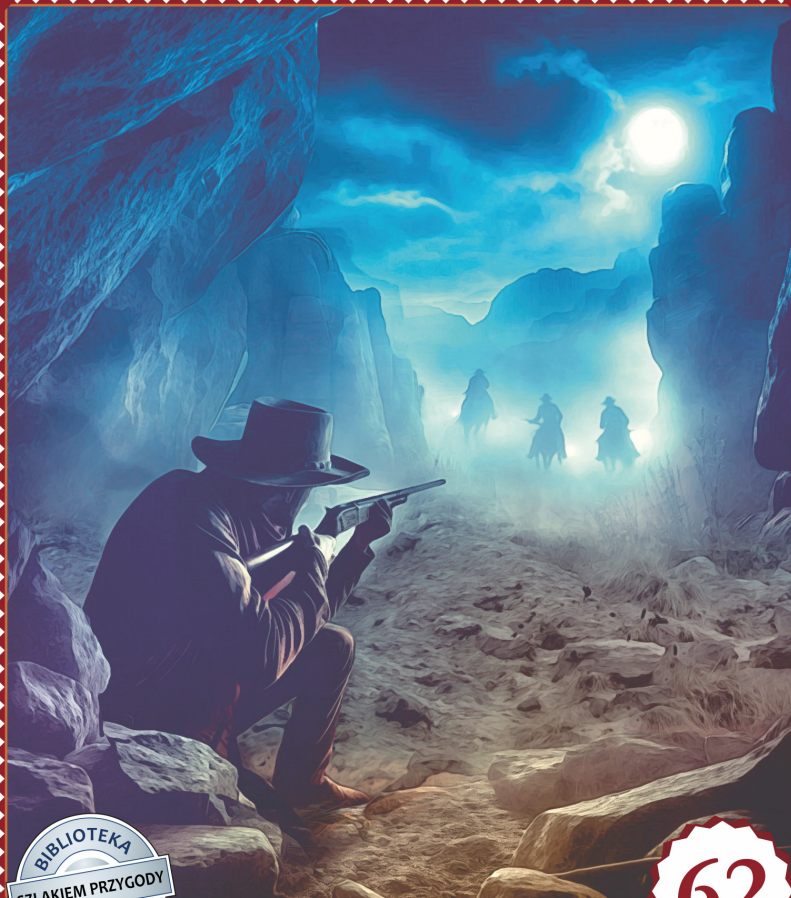




Max Brand

Poszukiwany żywy lub martwy



62

ISBN 978-83-67875-77-3

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Max Brand

**POSZUKIWANY
ŻYWY LUB MARTWY**



Max Brand, a właściwie Frederick Schiller Faust urodził się 29 maja 1892 roku w Seattle w stanie Waszyngton i zmarł 12 maja 1944 roku w Santa Maria Infante we Włoszech. Osierocony w wieku 13 lat musiał walczyć o przetrwanie. W młodości pracował jako parobek na ranchach w kalifornijskiej dolinie San Joaquin. Podczas drugiej wojny światowej był korespondentem wojennym we Włoszech, gdzie zginął trafiony odłamkiem pocisku w trakcie raportowania ofensywy wojsk amerykańskich.

Studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim. Wyróżniał się zamiłowaniem do nauki i do czytania książek, a także do buntowniczego stylu życia. Często wszczynał awantury i brał udział w pijatykach. Pisał satyryczne teksty ośmieszające uniwersytecką politykę, które publikował w szkolnych gazetkach i czasopismach literackich. Z tego powodu popadł w konflikt z władzami uczelni, które odmówiły mu przyznania dyplomu w 1915 roku. Kilka lat później uniwersytet zaproponował mu wydanie dyplomu, lecz odmówił.

Miłośnik mitologii greckiej i rzymskiej, dzieł Williama Szekspira, czy prozy sir Thomasa Maloryego, szczególnie uwielbiał dzieło *Śmierć Artura*. Zamiłowanie do klasyki odcisnęło na nim piętno w kwestii budowania postaci i fabuły.

Był jednym z najbardziej płodnych amerykańskich pisarzy. Napisał ponad 300 książek, głównie z nurtu literatury popularnej. Publikował, używając przeróżnych pseudonimów: George Owen Baxter, George Evans, David Manning, John Frederick, Peter Morland, George Challis, Evan Evans oraz Frederick Frost.

Najbardziej znany jest z przesiąkniętych akcją westernów. Do najpopularniejszych należą: *Nieposkromieni*, *Nocny jeździec*, *Siódmy człowiek*, *Córka Dana*, *Biały Wilk*, jednakże największą sławę przyniosły mu powieści o doktorze Jamesie Kildare.

Oprócz wymienionych pisał także romanse historyczne, powieści detektywistyczne oraz powieści szpiegowskie. Zarobił miliony, lecz pieniądze i sława nie miały dla niego znaczenia, a swoje powieści traktował jako sposób zarabiania na życie. Poświęcał się pisaniu poezji i powieści, z których niewielka ilość została opublikowana.

W Polsce wydano dość dużo jego różnych powieści. W PRL, w opublikowanym w 1951 roku *Wykazie książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu* umieszczono wszystkie jego utwory, tym samym objęto je cenzurą i podlegały natychmiastowemu wycofaniu z bibliotek. Jego dzieła uznano za firmowane nagannym nazwiskiem, bądź za „zdezaktualizowane”, lub za wydane w „niewłaściwym” miejscu. Jednym słowem jego książki uznano za „szkodliwe” dla współczesnego społeczeństwa polskiego. Głównie chciano zniwelować zainteresowanie Polaków światem, szczególnie Ameryką, tamtejszym życiem i obyczajami. Jego utwory powróciły do bibliotek i księgarń po 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, niekoniecznie najciekawszych i najlepszych.

Max Brand



POSZUKIWANY ŻYWY
LUB MARTWY

Przełożył i przypisami opatrzył Mieczysław Dutkiewicz

**Sto sześćdziesiąta druga publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Sześćdziesiąty drugi tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
Dead or Alive

© Copyright for the Polish translation by Mieczysław Dutkiewicz,
2025

12 kolorowych kart tablicowych: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations
by Dariusz Kocurek, 2025

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak
Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2025

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-67876-77-3

Rozdział I

Czarne chmury nad ranczem

Dzień, w którym pojawił się „Dragal”, wrył mi się w pamięć głębiej niż jakikolwiek inny – głównie z powodu historyjki, jaką uraczył nas już niemal w pierwszej chwili naszej znajomości, ale też ze względu na zajścia, jakie potem nastąpiły. A wydarzyło się wtedy tak wiele, że gdy opowiem o tym po kolei, stanie się od razu jasne, dlaczego wszystko, co wiąże się z Dragalem, zapisało się złotymi głoskami w mej pamięci.

Z pracą wyznaczoną na ten dzień zdążyliśmy się już uporać, nie zostało nic do roboty nawet dla mnie, żółtodzioba, najmłodszego w drużynie. Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata i jako ten najbardziej zielony dostawałem najmniej przyjemne zadania. Nie protestowałem, bo i tak miałem się za szczęściarza, jako że należałem do drużyny Porsona, uznawanej za jedną z najlepszych w całej okolicy. Co prawda roboty na ranczu było co niemiara, ale z nastaniem zimy zajęć ubywało i wtedy właściciel stawiał na głowie, aby zatrzymać pod dachem przynajmniej tych najbardziej sumiennych. Jeśli zaś chodzi o obiboków i lese-rów, to gdy zaczynały się prawdziwe chłody, musieli radzić sobie sami. U Porsonów mogli liczyć na przezimowanie tylko porządni kowboje, którzy pracowali z oddaniem. Bywało tak, że zimą dostawali tylko połowę zapłaty, albo nawet tyrali jedynie za wyżerkę, ale gdy z wiosną pojawiały się widoki, że roboty ruszą znowu pełną parą, każdy na ranczu zaczynał otrzymywać pełną zapłatę. Nic więc dziwnego, że chętnych do pracy na naszym ranczu nie brakowało.

Co do mnie, zamierzałem w przyszłości zająć się hodowlą bydła, albo u kogoś, albo na swoim, więc chętnie uczyłem się fachu pod okiem starego Jeffa Porsona. Był jednym z najtwardszych ranczerów w okolicy, ale też najuczciwszym. Co więcej – znał się na bydłe jak mało kto! Znał się na tym tak dobrze, że kiedy widział, jak jakiś roczniak podrzuca łbem lub wznosi ogon do góry, potrafił określić dokładnie, ile much dręczy to biedne zwierzę. Tak przynajmniej powiadali jego kowboje. Sze-fował im syn Jeffa, Dan, ale rzecz jasna tylko wtedy, gdy staro-go nie było na ranczu. Z Dana też był dobry szef, choć bardzo wymagający i może trochę za bardzo skory do jakiejś rozróby od czasu do czasu, ale w sumie nie mogliśmy na niego narze-kać, bo nie czepiał się byle czego.

Co to znaczy: być dobrym szefem? No cóż, dobry szef to moim zdaniem facet, który po pierwsze zna się dobrze na swojej pracy, a po drugie zna dobrze swoich pomocników. Wie zaw-sze, kiedy ktoś wykonał swoją robotę najlepiej jak umiał, a kiedy nie. Moje pierwsze zadanie na ranczu Porsonów polegało na ujeżdżeniu narowistego czterolatka. Zajęło mi to cały tydzień, przy czym stale musiałem zadawać sobie pytanie, czy zdołam w końcu ujarzmić konia, czy może raczej to koń ujarzmi mnie... Ostatecznie wypróbowałem na tym wałachu niemal wszystkie nieczyste sztuczki, jakich koń może zakosztować w ciągu całego swojego życia, a jednak Dan Porson pozwolił mi nadal się nim zajmować. Dopiero potem dowiedziałem się, że kiedy jeden z kowbojów skrytykował moje nieuctwo, przez które jakoby tyl-ko znęcam się nad koniem, Dan wyjaśnił mu, że na ranczu do-brze wychowany kowboj jest więcej wart niż dobrze wychowa-ny koń, oraz że wiedza przychodzi z wiekiem, a nie ma lepszej nauki niż ta biorąca się z własnego doświadczenia.

Może rozwodzę się za bardzo nad tym wszystkim i też na temat Dana Porsona, ale to pewnie dlatego, że kiedy zjawił się

u nas Drgał, byliśmy tu właśnie w niemałych opalach. A wszystko przez to, że kilka tygodni wcześniej Dan wybrał się z całą drużyną do miasta i podczas jakiejś awantury w tamtejszym saloonie¹ poniosły go nerwy. Nie była to wielka burda, po prostu zwykłe spięcie, jak to bywa przy piciu whisky. Jednak w końcu nie obyło się bez tego, że przemówiły rewolwery, i Dan, który zwykle łatwo sięgał po broń, a strzelał wtedy nie tylko szybko, ale też celnie, również tym razem nie chybił przeciwnika.

Kula trafiła Josha Ackera w prawe biodro i wyszła przez plecy na wysokości krzyża. Rannego położono do łóżka na zapleczu saloonu, Dan rzecz jasna opłacił doktora i wszyscyśmy mieli nadzieję, że nie stało się nic wielkiego, a Josh z tego wyjdzie – po części dlatego, że nie mieściło nam się w głowie, aby ktoś mógł stracić życie w tak młodym wieku, a po części dlatego, że Josh miał brata, który włóczył się wprawdzie po okolicy to tu, to tam, ale z pewnością wróciłby czym prędzej policzyć się z Danem, gdyby Josh przeniósł się mimo wszystko na tamten świat. Owym bratem Josha był Tom Acker, urodzony rewolwerowiec, zawsze skory do strzelaniny. Po prostu uwielbiał takie akcje i był w tym naprawdę dobry. Za zabójstwa stawiał już przynajmniej kilkakrotnie przed sądem, ale za każdym razem wykręcał się sianem, tłumacząc, że działał w samoobronie.

Tak właśnie miały się sprawy, kiedy pewnego dnia nadszedł list z kilkoma słowami nagryzmołonymi przez tegoż Josha Ackera. Koperta zawierała też pieniądze dla Dana Porsona w kwocie dokładnie takiej, jaką Dan wydał uprzednio na leczenie swojej ofiary, z dopiskiem, że doktora opłacił brat Josha, Tom, który jak tylko znajdzie na to czas, planuje wybrać się pociągiem w nasze strony.

¹ *Saloon* – w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza na Dzikim Zachodzie rodzaj baru, w którym sprzedawano napoje, również alkoholowe, przeznaczone do konsumpcji na miejscu, miejscowa ludność – niemal wyłącznie mężczyźni – zwykła spędzać tam wolny czas i odbywać spotkania oraz narady.

List wyjaśniał ponadto, że Tom Acker ma do pomówienia z Danem Porsonem – a każdy, kto miał choćby trochę oleju w głowie, mógł przewidzieć, że ostatecznych argumentów w takiej rozmowie jest w stanie dostarczyć jedynie „sędzia Colt”¹!

Nad ranczem poczęły się gromadzić ciemne chmury, nic więc dziwnego, że pora wieczery przebiegała odtąd bez jakichkolwiek oznak wesołości, a posępny nastrój utrzymywał się przez cały dzień. Dan miał swoje wady, wszyscyśmy o tym wiedzieli, ale ogólnie rzecz biorąc, był przez nas lubiany i przygnębiała nas sama myśl o tym, że miałyby już niebawem zamknąć oczy na zawsze.

Tak oto wyglądała sytuacja, i dlatego siedzieliśmy wtedy przed naszym barakiem niemal w milczeniu, oddając się posępnym rozmyśleniom, gdy wtem na pobliskim wzgórzu ujrzeliśmy jeźdźca. Zbliżał się bez pośpiechu i niebawem zatrzymał się tuż przed nami. Miał wygląd typowego kowboja – był wysoki i szczupły, przy tym szeroki w barach, o mocarnych ramionach. Twarz miał szkaradną, ale zarazem dobrotliwą, pokaźny krzywy nos oraz szerokie, krzywe usta, wygięte przy uśmiechu identycznie jak nos – tak jakby przez całe życie dął w niego wiatr z jednej strony, podobnie jak to się dzieje z drzewami na stokach gór.

Zatrzymał konia przed barakiem, z wolna zsunął się z jego grzbietu na ziemię i wtedy okazało się, że ubranie wisi na nim w strzępach. Koń, istna kupa nieszczęścia, miał kabłąkowaty grzbiet i trzymał nisko opuszczoną głowę, tak jakby ściągał ją

¹ *Sędzia Colt* (ang. Judge Colt) – powiedzenie nawiązuje do rewolweru Colt 45, popularnego m.in. wśród sędziów na Dzikim Zachodzie, którzy często nosili broń, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo w trakcie wykonywania obowiązków; z tego względu „sędzia Colt” stał się synonimem sędziego, gotowego bronić swojej decyzji za pomocą broni palnej, ale pojęcie to mogło dotyczyć jednocześnie samego rewolweru, mogącego w określonej sytuacji rozstrzygnąć definitywnie o wyniku konfliktu.

w dół jakiś spory ciężar. Doprawdy, wierzchowiec i jeździec tworzyli razem parę godną pożałowania. Większość kowbojów stara się zwykle zrobić na widzach wrażenie: osadzają konia w miejscu i zwinnie, z gracją zeskakują z niego, jakby rozsadzała ich energia, natomiast ten nieznajomy ni to zsunął się, ni to spadł z siodła i bez pośpiechu stanął na ziemi.

– Siemacie, chłopcy – powiedział. – Tak sobie myślę, czy coś tam u was zostało jeszcze w kuchni do przekazania.

Dan Porson, który siedział z nami, rzekł:

– Odprowadź konia, przybyszu. Potem wejdź do środka i powiedz kucharzowi, żeby dał ci coś na ząb. I również ze dwa koce. Znajdzie się też dla ciebie wolna pryzca.

– Spróbuję odprowadzić konia do stajni – odparł dryblas – ale raczej nie będzie to łatwe.

– A to czemu? – zapytał jeden z naszych. – Pewnie to jedna z tych szkap, co to unika wysiłku i stara się chodzić jak najmniej?

– Mój koń? Nie, nic z tych rzeczy. To po prostu niedźwiedziokół.

To powiedziawszy, ruszył w kierunku stajni, ciągnąc za sobą przygarbione zwierzę, a po chwili wszedł do domu.

– Co on miał na myśli z tym niedźwiedziokoniem? – zapytał Dan Porson.

– Nie mam pojęcia – mruknął „Mańkut” Guinness. – W każdym razie wygląda mi na zwykłego włóczykija, a przy tym porusza się tak niemrawo, jakby doskwierał mu reumatyzm. Mam nadzieję, że nie zabawi tu z nami długo.

Wiosna kończyła się właśnie, nastała pora najdłuższych dni w roku, tak więc świeciły jeszcze resztki słońca, kiedy przybysz wyszedł z powrotem z domu. Przez ramię przerzucił sobie zrolowany koc, w ustach ścisnął zębami papierosa. Stał powoli, z widocznym trudem, stawiając krótkie kroki, jakby bolały go i nogi, i brzuch.

Dan Porson, jak przystało na człowieka dobrze wychowanego, podszedł do niego i podał mu rękę.

– Poznał już pan tutejszych chłopców? – zapytał.

– Nie – odparł nieznajomy. – Znalazłem się tu przypadkiem, jestem tylko przejazdem.

– To ranczo Porsonów – wyjaśnił Dan. – A ja jestem Dan Porson. Jeśliś pan zmęczony, proszę sięść na kocu i odpocząć.

– Dzięki. Zwykle mówią mi „Drağal”. Miło mi pana poznać, Porson.

Złożył koc w taki sposób, że zrobił z niego poduszkę, po czym opadł na nią z jękiem, krzyżując nogi.

– Powiedz mi, przyjacielu, cóż to za dziwo: niedźwiedziokół? – zapytał Dan.

– Niedźwiedziokół? – powtórzył Drağal. – Nie wiesz pan tego?

– Nie wiem – przyznał Dan. – Nigdy jeszcze nie słyszałem o takim zwierzu!

– No cóż... po namyśle nie mogę się temu dziwić, bo chyba i ja sam zetknąłem się z czymś takim dopiero niedawno.

Drağal umilkł i przez chwilę w milczeniu, bez pośpiechu skrecał długimi palcami nowego papierosa, następnie przypalił go od poprzedniego.

Cisza trwała, dopóki z ust nie wypłynął mu pierwszy dymek, a on w tym czasie upewnił się, że wszyscy czekają w napięciu na jego opowieść, którą rozpoczął tak oto:

– Parę dni temu jeździłem po okolicy, co chwila obrzucając mego konia wyzwiskami, chociaż wiem, że nie powinno się tego robić, zwłaszcza wobec konia, którego dostało się w prezencie. Ale trudno, nic na to nie poradzę, bo to zwierzę jest pokraczne i z przodu, i z tyłu, a środkowej części nie ma wcale. Kiedy jego tylne nogi klusują, przednie idą stępa, a co gorsza, zawsze porusza się przygarbiony niczym krowa schodząca po stoku. Jest przy



Taki właśnie kolos stał teraz przy mnie, tak blisko, że kiedy ryknął, samym oddechem zdmuchnął mi kapelusz z głowy.

tym dychawiczny i krótkowzroczny, a całą siłę, jaką ma w sobie, zużywa każdego ranka na wytarzanie się. Bez takiej rozgrzewki w ogóle nie byłby w stanie wyruszyć w drogę. Chód ma tak twardy, że bolą mnie przez to wszystkie kości od stóp do głów, nie wiem, czy możecie to sobie wyobrazić. Za każdym razem, kiedy uderza kopytem o ziemię, mam wrażenie, jakby w mojej czaszce grzechotało coś niczym suszony groszek w blaszanej puszcze.

– Tak, chyba już pojmuję, co to za koń – mruknął Dan Porson.

Reszta z nas siedziała skupiona, bo widać było, że ten wysoki, chudy przybysz jest nie lada mistrzem w snuciu opowieści. On zaś mówił dalej:

– Zaczął mi już doskwierać głód, widoki na znalezienie czegoś, co nadawałoby się do zjedzenia, wydawały się mizerne, a te podskoki na grzbiecie mojej szkapy tylko wzmacniały apetyt. Jednak w pewnym momencie mignęły mi w oddali białe ogony stadka jeleni. Czym prędzej zsiadłem z konia, uwiązałem go na długim sznurze do jakiejś wierzby i wspiałem się ostrożnie na wzgórze. Z góry oddałem strzał i na szczęście trafiłem młodego byczka. Podbiegam bliżej, odcinam z niego, co tylko się da, aby przygotować zapas jedzenia na potem i przedzieram się przez zarośla, aby władować zdobycz na konia. Aż tu nagle wyrasta obok mnie jakby spod ziemi grizzly¹. Dźwiga się w górę na tylne łapy, tak potężny, że nosem zdaje się sięgać nieba, największy szary niedźwiedź, jakiegom kiedykolwiek widział, o większym nie opowiadano jeszcze nigdy w saloonach nawet po trzeciej szklaneczce whisky. Taki właśnie kolos stał teraz przy

¹ Grizzly (*Ursus arctos horribilis*) – niedźwiedź szary, podgatunek niedźwiedzia brunatnego, długość ciała dorosłego samca do 2,5 m, zamieszkuje północno-zachodnią część Ameryki Północnej, głównie Góry Skaliste, doskonale pływa, uchodzi za bardziej drapieżnego niż niedźwiedź brunatny.

mnie, tak blisko, że kiedy ryknął, samym oddechem zdmuchnął mi kapelusz z głowy. Czym prędzej cisnąłem na ziemię mięso, które trzymałem, chwyciłem kapelusz i puściłem się pędem do konia, a ta bestia za mną. Wpakowałem się na moją chabetę i dźgnąłem ją ostrogami z całych sił, a ona ruszyła z kopyta i kierując się na północ, pomknęła przed siebie niczym jastrząb na łowach. Na moje nieszczęście zapomniałem przy tym zupełnie, że przywiązałem konia do wierzy, no i gdy lina, choć długa, rozwinęła się wreszcie do końca, wstrzymała szkapę tak raptownie, że ta zrobiła fikołka, a ja poszybowałem w górę i wpadłem w jakieś kolczaste krzewy, które bezlitośnie pocięły mnie całego od stóp do głów. Dlatego moje ubranie wygląda tak, jak widać. Kiedyś się już pozbierał, a świat przestał mi wirować przed oczami, usiadłem na ziemi i patrzę: oto moja szkapa podnosi się, wstaje jakby nigdy nic, a niedźwiedź patrzy na nią i najwyraźniej nabiera chęci apetytu na koninę, akurat teraz, akurat tego dnia. Nagle rusza do ataku, szarżując wprost na konia, a ten, z pętlą na karku, wie już przecież, że nie pozbędzie się liny, nie próbuje więc nawet uciekać. Zamiast tego gotuje się do starcia z pędzącym ku niemu niedźwiedziem: cofa się nieco i z lekko pochyłym łbem wypatruje celu, po czym tylnymi kopytami wykonuje nagłego kopa i trafia niedźwiedzia prosto w czubek nosa. Jak już mówiłem, to był olbrzymi grizzly, nic więc dziwnego, że i nos miał niemały, starczyło zatem na nim miejsca dla obu kopyt. Niedźwiedź runął na grzbiet, wydając przy tym przeraźliwy ryk, niesamowity, jakby z wnętrza ziemi, potem dźwignął się z trudem i sięgnął przednimi łapami do pyska, aby sprawdzić, czy coś jeszcze tam na nim pozostało, a kiedy się przekonał, że nos tkwi nadal na swoim miejscu, postanowił wynieść się czym prędzej, póki jeszcze czas. Po chwili pędził przed siebie na trzech łapach, bo czwartą trzymał cały czas przytkniętą do nosa, najwidocz-

niej bardzo obolałego. Zbliżał się szybko do krańca horyzontu, aż wreszcie zniknął mi z oczu. Nie pozostało mi już wtedy nic innego, jak tylko podnieść z ziemi mięso i strzelbę, władować wszystko na konia i ruszyć w drogę. Ale koń co jakiś czas przypominał sobie tamtą linę, a wtedy nagle stawał w miejscu i przez dobrą chwilę potrząsał łbem. Albo też opuszczał głowę i zerkał za siebie, aby się upewnić, czy nie atakuje go niedźwiedź. Oto dlaczego mówię teraz na niego: niedźwiedziokoń.

Po tych słowach, kończących opowieść, Drągał dźwignął się z trudem i stęknął ponownie.

– Ach, te kolce! – szepnął. – Nieźle mnie pokłuły!

Po chwili zniknął w drzwiach baraku, a my odprowadzaliśmy go wzrokiem, chichocząc.

– Niedźwiedziokoń! – odezwał się w końcu Dan Porson, kręcąc głową.

My wszyscy w śmiech, a Dan dodał:

– Teraz już wiemy, co to za jeden ten Drągał: stuknięty gawędziarz.



Rozdział II

Gawędziarz

Bylisśmy pewni, że Drągał pobędzie z nami co najwyżej do rana, ale on nie zdradzał wcale chęci wyruszenia w drogę. Upłynęły trzy kolejne tygodnie, każdy z tych dni mógł przynieść jego decyzję o spakowaniu swoich rzeczy i odejściu, tymczasem myśl o tym, że mógłby nas opuścić, zaczęła – o dziwo! – sprawiać nam przykrość. Okazał się bowiem człowiekiem niezwykle zabawnym, filutem, jakich na świecie mało, no i po prostu przyzwyczailisśmy się do niego. Szef nazwał go pierwszego dnia „stukniętym gawędziarzem”, ale miał rację tylko w połowie, bo Drągał nie należał wcale do stukniętych w sensie „nierozgarnięty”, był z niego natomiast rzeczywiście wyjątkowo zapalony klituś-bajduś.

Z pewnością nie mogliśmy za to zaliczyć go do gorliwych pracowników. Przez kilka pierwszych dni mógł faktycznie odczuwać bolesne skutki lądowania w kolczastych zaroślach, w jakie spadł z konia – zakładając, że to, o czym nam opowiedział, wydarzyło się naprawdę – i dlatego poruszał się z trudem. Szybko jednak stało się jasne, że nigdy, niezależnie od kondycji, w jakiej się akurat znajdował, nie przejawiał chęci do podjęcia jakiegokolwiek pracy. Jeśli mogła ona wiązać się choćby z najmniejszym wysiłkiem fizycznym, robił wszystko, co możliwe, aby jej uniknąć.

W tym celu sięgał do swego niewyczerpanego zasobu najprzeróżniejszych pomysłów tak sprytnie, jak iluzjonista na scenie, który raz po raz wyczarowuje coś z rękawa, ale myśmy

i tak potrafili zawsze odkryć, o co mu naprawdę chodzi. Na przykład kiedyśmy przegrywali zakład, nie mogąc wyciągnąć z talii właściwej karty, nie żądał od nas za to dolara, ale musieliśmy dla odmiany naprawić mu uzdę, kupić nowe skórzanе strzemię lub coś w tym rodzaju. Kiedyś postawił pięćdziesiąt centów, zapewniając, że zdoła wyciągnąć któremuś z nas spod pachy żywego królika. My ze swej strony mieliśmy za to oporządzić jego konia i go oczyścić – chociaż ta bestia wcale tego jeszcze nie wymagała. Do zaprezentowania triku wybrał mnie, i muszę się przyznać, że kiedy wsunął mi dłoń pod kurtkę i nagle poczułem, tak jak on zapowiadał, że coś się tam szamocze, drapiąc mnie przy tym, wystraszyłem się nie na żarty, a on po chwili wyciągnął z powrotem rękę i – trudno w to uwierzyć! – faktycznie trzymał w niej za kark wystraszonego królika.

Na ten widok wszyscy zaczęli wiwatować i pisać z zachwytem, Dągał natomiast oświadczył z poważną miną:

– Nie u każdego mógłbym wyciągnąć w ten sposób żywego królika. Musi to być ktoś o czystym sercu i prawym charakterze. Ale, jak widać, nasz Nelly Grey jest właśnie takim człowiekiem, i wydaje mi się, że u niego mogę bez obawy spróbować powtórzyć tę sztuczkę.

To mówiąc, rzeczywiście sięgnął ponownie pod moją kurtkę, tak jak przedtem, i oto podniósł w górę rękę z drugim zwierzątkiem.

W tym miejscu muszę wyjaśnić, że nazywam się Nelson Grey i zwykle wszyscy skracają moje imię do „Nels”, ale Dągał pierwszy zaczął mówić mi „Nelly”¹ i tak już pozostało; co gorsza, ku mojemu wielkiemu niezadowoleniu inni zaczęli go w tym naśladować.

¹ Nelly jest imieniem żeńskim.

Tego rodzaju różne sztuczki i żarty pomagały nam odprężyć się po całodzienniej pracy na ranczu i zamiast pograżać się w posępnych rozmyślaniach o groźbie wiszącej nad głową naszego szefa, mogliśmy odtąd spędzać wieczory w wesołym nastroju.

Nawet Dan Porson zaczął przychodzić po wieczornym posiłku do naszego baraku i przesiadywał tam z nami godzinę, nieraz też dłużej, przysłuchując się bajeczkom opowiadanym przez Drągała. A kiedy ten rozpoczynał swą opowieść, zapadała cisza i wszyscyśmy słuchali go z zapartym tchem. Któregoś dnia Dan powiedział, że tak świetny wesołek na ranczu jest wart tyle, co dwóch kowbojów, po czym zaproponował, że będzie płacił mu za to, by co wieczór zabawiał nas swoimi opowieściami!

– Już raz się zdarzyło, że wynajęto mnie do tego, abym opowiadał rozmaite historyjki – odparł Drągał – i możecie mi wierzyć, że za nic na świecie nie chciałbym przeżywać tego samego po raz drugi.

– Dawno to było? – zapytałem.

I to wystarczyło, aby Drągał rozpoczął nową opowieść. Nikt nie musiał prosić go o to dwa razy.

– Statek, na którym wtedy pracowałem, odbywał rejs po Pacyfiku, a załoga miała dwóch szczególnie niegodziwych oficerów: za byle co zwykli karać marynarzy chłostą, używali do tego liny okrętowej. Któregoś wieczoru, gdy dobijaliśmy do portu na Wyspach Salomona, uznali, że teraz ja zasłużyłem na taką karę.

– A ty dałeś im obu wycisk? – zapytał Porson.

Drągał potrząsnął głową.

– Nie zwykłem się bić. Jestem na to za chudy i za wysoki. Nie dałbym im rady. Ale kiedy podchodzili do mnie, pomyśla-

łem sobie, że większość zapłaty za pracę na statku i tak zdążyłem przegrać w pokera, na więcej nie bardzo mogę liczyć, a zatem nic mnie już tu nie trzyma. Tak czy owak, dałem z pokładu nura do wody i popłynąłem wpław do brzegu.

– I nie natknąłeś się na żadnego rekina? – zapytałem. – W tamtych wodach aż się od nich roi.

– Dobrze, żeś mi tym przypomniał. Masz rację – podchwycił Drągal. – Nie ma to jak czytany młodzieniec, doskonała podpora dla kogoś, kto może czasem zapomnieć o czymś ważnym. Zgadza się, widziałem tam dużo rekinów, ale wcale się ich nie bałem, bo już wiele lat wcześniej zdążyłem się przekonać, że nie gustują w moim smaku. Tego wieczoru było ich w wodzie całe mnóstwo, wprost kłębiły się wokół mnie, tak że co chwila musiałem odpychać je na boki. W końcu dostałem się na brzeg, na złość tym dwóm oficerom, którzy musieli pogodzić się z faktem, że m zdążył im umknąć. Wyruszyłem w głąb wyspy, aż dotarłem do miejsca, skąd ujrzałem płonące ognisko i poczułem zapach pieczonego mięsiwa. Szedłem dalej, kierując się zapachem, i raptem znalazłem się przed obliczem króla. Okazało się, że jest władcą kilku wiosek na tej wyspie, a kiedy dowiedział się, że mówię po angielsku, oszalał z radości, bo od jakiegoś czasu uczył się tego języka i chciał się z nim osłuchać. Tak więc od razu usiadłem z nim przy ognisku i przez cały wieczór snułem rozmaite opowieści, które zachwyciły go do tego stopnia, że oddał mi do dyspozycji jedną z chat, taką siedzibę honorową dla mnie, że tak powiem. A następnego ranka, kiedy się obudziłem, czekało już na mnie kilku czarnoskórych wysłanników króla z wiadomością, że zaprasza mnie do siebie. Udałem się zatem do króla i razem spożyliśmy śniadanie, a potem przez cały dzień ucztowałem wraz z nim – bo on co pół godziny nakładał sobie kilka łyżek kolejnych potraw – piłem

do tego jego trunki, które jakoś dziwnie drażniły moje powonienie, i nie przestawałem mu opowiadać coraz to nowych historii. To znaczy, on siedział i palił, i pił, i słuchał, a ja siedziałem, paliłem i piłem, i mówiłem. Był to jeden z moich najpiękniejszych dni. Potem król powiedział, że jest bardzo zadowolony z mojego towarzystwa i życzy sobie, żebym pozostał u niego na zawsze jako główny szambelan albo nadworny marszałek lub wezyr czy coś w tym rodzaju. Nie miałem nic przeciw temu. Uznałem, że lepsze już będzie takie życie niż ustawiczny lęk przed chłostą na statku, chyba to rozumiecie. Zgodziłem się, a król dał mi w prezencie szatę z wzorzystej bawełny i łaskawie pozwolił mi wrócić na wieczór do mojej chaty. Kiedy zbudziłem się nazajutrz rano, ujrzałem prócz dwóch służących, podarowanych mi przez króla już poprzedniego dnia, kobietę zaofiarowaną mi na żonę, a także dwa prosiaki. Prosiaki kazałem upiec, ale kobietę odesłałem królowi, wolę bowiem mieć spokój w domu, nawet jeśli jest to tylko zwykła chata. Ta decyzja zdumiała króla i kiedy nieco później poszedłem go odwiedzić, sprowadził dla mnie tuzin młodych ślicznotek namaszczonych od stóp do głów wonnymi olejkami, z ozdobnymi koleczykami w nosach. Oświadczyłem królowi, że czuję się niezmiernie zaszczycony jego hojnością, ale niestety nie mogę z niej skorzystać, gdyż ciąży na mnie klątwa rzucona przez pewnego czarownika: jeśli poślubię jakąkolwiek kobietę, w jednej chwili utracę dar snucia opowieści. Król, wysłuchawszy mnie, czym prędzej wygnał owe kobiety z pałacu, a ja usiadłem u jego boku, aby opowiedzieć mu następną historyjkę. W ten sposób upłynęło sześć miesięcy i przez cały ten czas korzystałem z gościnności króla, jedząc i pijąc do woli. Codziennie dostawałem prezenty, od prosiaków po bele drogocennego sukna, paciorki, broń i amunicję, a kiedyś otrzymałem nawet wojenne kanu i garść wspaniałych pereł.

Kłopot polegał jednak na tym, że w rewanżu musiałem codziennie raczyć króla opowieściami. Któregoś dnia odetchnąłem z ulgą, bo wybuchła akurat niewielka wprawdzie, ale jednak, wojna z którymś z sąsiadów króla, niestety wszakże potrwała zaledwie tydzień. Nieprzyjaciele uznali, że mają dość uganiania się za nami po lesie, zawarto więc rozejm, co dla mnie oznaczało powrót do obowiązku opowiadania królowi rozmaitych historyjek. Musiałem mówić, dopóki nie usnął, a potem budzić go następną opowieścią. Możecie być pewni, że wykorzystywałem cały zapas historyjek, jakie znałem, zacząłem nawet sam wymyślać nowe, a potem przypominać sobie dawne, zasłyszane gdzieś bajeczki, a pamiętałem ich niemało, i wreszcie przyszła kolej na opowieści, które znałem z przeczytanych książek, i wszystko to starałem się rozciągać i przedłużać, jak tylko się dało, aby gadać dwukrotnie dłużej i bardziej pogmatwanie. Mimo to czułem, że słowa płyną mi z ust z coraz większym oporem i w końcu zdałem sobie sprawę, że niebawem zabraknie mi ich w ogóle. I faktycznie ten moment nadszedł, trudno mi było w to uwierzyć, lecz tak się stało. Otworzyłem usta, aby wypowiedzieć jakieś słowo, ale nic z tego! Nie mogłem wykrztusić ani jednego. Chciałem powiedzieć: „Następnego dnia” albo „Jak już mówiłem...” czy też: „A wracając do Billa, o którym wspomniałem, że stał na skraju lasu, dzielnie oczekując ataku piratów...”, jednak nic mi nie wychodziło. Wyczerpałem cały zasób słów, co do jednego! Król zapytał, co się dzieje, wyjaśniłem zatem, że ktoś musiał odkręcić kurek, korzystając z mojej nieuwagi, i słowa zaczęły wyciekać ze mnie jedno po drugim przez kilka nocy, aż wyciekły do ostatniego. Król, słysząc to, najpierw wytrzeszczył oczy i wpatrywał się we mnie w milczeniu, a potem otworzył usta i zaczął wrzeszczeć. Krzyczał, że jestem przeklętym oszustem, a nie wspaniałym zabawiaczem.

Wreszcie wezwał straż i kazał mnie poćwiartować oraz rzucić świniom na pożarcie, ale przedtem upiec, jako że jestem za chudy i zbyt podły, abym nadawał się do zjedzenia w surowym stanie. Na szczęście udało mi się dać susa i podciąć nogi strażnikowi, a kiedy ten runął na podłogę, mimowolnie zatarasował sobą drzwi, dając mi dostatecznie dużo czasu na wydostanie się na zewnątrz, gdzie włócznie ludzi króla nie mogły mnie już dosięgnąć. Dzięki temu zyskałem przewagę nad strażnikami i bez najmniejszego szwanku zdołałem dotrzeć na brzeg. Uskrzydlało mnie wiele powodów, aby jak najprędzej zostawić to miejsce za sobą. W porcie stał zakotwiczony statek, tuż przy brzegu, dałem zatem nura do wody niczym kaczor i podpłynąłem do burty. Marynarze rzucili mi linę, wspiąłem się po niej na pokład, a wtedy – zgadnijcie, co zobaczyłem.

– Coś zobaczył? – zapytałem.

– Ujrzałem tych samych dwóch złośliwych oficerów, przed którymi sześć miesięcy wcześniej musiałem uciekać, skacząc do wody. Jak się okazało, frachtowiec po zakończeniu poprzedniego rejsu akurat wczoraj zawinął tu ponownie do portu, a na jego pokładzie znajdowali się ci dwaj, którzy teraz spoglądali mnie, szczerząc zęby, uradowani, że widzą mnie przed sobą.

– Powiedz, co ci zrobili?

– No cóż – odparł Dągal. – Jak już mówiłem, nie nadaję się do bójek, tak więc wolę nie opowiadać o tym, co się potem działo. Brak mi nawet odpowiednich słów, by to opisać. Właśnie dlatego nigdy więcej nie przyjmę pracy jako gawędziarz do wynajęcia.

Tak oto wyglądał typowy sposób snucia opowieści przez Dągala. Większość z tego stanowiły bujdy, kto jednak potrafiłby powiedzieć, jaka część nie była zmyślona? A przy tym zawsze miało się wrażenie, że jednak wiele z tego wszystkiego wy-



W porcie stał zakotwiczony statek, tuż przy brzegu,
dałem zatem nura do wody niczym kaczor i podpłynąłem do burty.

darzyło się naprawdę. No dobrze, ale ile? Tego nigdy nikt nie wiedział. Za każdym razem, kiedy Drągał kończył swoje koszałki-opałki, my zaczynaliśmy łamać sobie głowy, starając się wspólnie rozwikłać tę zagadkę, ale wtedy okazywało się, że mamy co do tego odmienne zdania. Zgadzaaliśmy się tylko w jednym punkcie: że Drągał jest najbardziej utalentowanym łgarzem o wrodzonej zdolności do bajdurzenia, jaki kiedykolwiek przybył na nasze ranczo.

Tak właśnie miały się sprawy, kiedy na ranczo wrócił „Stary”, to znaczy Jeff Porson, ojciec Dana. Od tego czasu wszystko się pogmatwało. Bo na widok Drągala siedzącego beczynn timer przed barakiem, choć pozostało jeszcze sporo czasu do zachodu słońca, Jeff zawołał od razu:

– Wziąłeś sobie wolny dzień? A może cię wyrzucili i czekasz teraz na wygodną podwózkę do miasta?



Rozdział III

Rewolwerowiec

Już po samym sposobie, w jaki Jeff Porson odezwał się do niego, Drągal mógł się domyślić, że ma przed sobą kogoś, kto decyduje tu o wszystkim, ale – jak mi potem wyznał – dziwny i dość niechlujny ubiór nie wskazywały wcale na właściciela rancza, odparł więc:

– Musisz wiedzieć, przybyszu, że właśnie wykonuję sumienie swoją pracę.

– Ach tak? A na czym ona polega, co? – zapytał Jeff.

– Wyřęcam tutejszych chłopców w myřleniu.

– O! W takim razie jesteś myřlicielem, czy tak? – nie dawał za wygraną „Stary” Jeff Porson.

– Zgadza się. Jestem tu doradcą, kimś w rodzaju uzdrowiciela – wyjaśnił Drągal. – Mogę ci opowiedzieć, przybyszu, o takim uzdrowicielu i szamanie, który zaklinał deszcz dla plemienia Siuksów i...

– I od dawna tyrasz tak na tym ranczu? – przerwał mu Jeff.

– Będzie ze trzy tygodnie, przyjacielu.

– Muszę cię więc zmartwić, bo właśnie twój czas tutaj dobiegł końca – oświadczył Jeff. – Pakuj swoje manatki!

– Oho, a coś ty w ogóle za jeden, przyjacielu?

– Jestem Jeff Porson. Zabieraj się stąd! Jazda! Już ja cię uzdrowię!

– Naprawdę jesteś pan Jeffem Porsonem?

– Ruszaj wreszcie!

– Bardzo mi przykro, ale coś mi się widzi – powiedział Drągal – że chyba będę mógł stąd wyjechać nie wcześniej niż jutro rano.

– Ha, a może jednak zdołam cię przekonać do zmiany zdania? – wycedził Jeff, z trudem już panując nad swoją wrodzoną zapalczywością.

– No cóż, jeśli o mnie chodzi, zawsze jestem otwarty na argumenty, o ile są przekonujące – odparł Drągal. – Ale jest jak jest.

– Znaczący: jak? – warknął przez zęby Jeff. – Tak jak ja to widzę, jest tylko jedno rozwiązanie: masz się stąd wynieść w te pędy!

– Dlaczego? – upierał się Drągal. – Czy ktokolwiek w sądzie mógłby wnieść oskarżenie przeciw komuś innemu, zanim by udowodnił, kim sam jest?

– A co to ma wspólnego z nami?!

– Nawet wiele – wyjaśnił Drągal. – Chętnie bym spełnił pańskie życzenie, ale nie mogę tego zrobić, zanim się nie upewnię, że jesteś pan istotnie Jeffem Porsonem, właścicielem tego rancza.

– Więc idź zapytać o to naszego kucharza, durniu! – zawołał Jeff.

– I teraz wszystko stało się dla mnie jasne, przybyszu. – Drągal machnął ręką. – Nie jesteś pan Jeffem Porsonem, to pewne. Nie możesz pan być ojcem tego wspaniałego młodzieńca, dżentelmena w każdym calu, jakim jest Dan Porson. Bo ojciec Dana nie nazwałby nigdy durniem prostego wędrowca, który nie zrobił mu nic złego. Tak więc, kimkolwiek jesteś, mój panie, nie jesteś ojcem Dana Porsona, zatem mogę tu spokojnie posiedzieć, dopóki nie wróci Dan.

Tego już było Jeffowi za wiele. Czym prędzej ruszył do domu po strzelbę, ale kucharz, widząc, co się święci, zdołał powstrzymać go od popełnienia nierozważnego czynu. Wypowiedział przy tym mnóstwo pochwał na temat Drągala, kiedy jednak po długim i pracowitym dniu tuż przed zachodem słońca Dan z resztą chłopaków wrócili na ranczo, „Stary” Jeff nadal kipiał z furii. Purpurowy na twarzy wpadł wprost na biednego Dana i zażą-

dał od niego wyjaśnień, dlaczego pozwala leniowi, obibokowi kręcić się beczynn timer po ranczu. Wskazując palcem na Drągala, kazał wyrzucić go stąd raz na zawsze.

Całą sprawę pogarszał fakt, że te ostre słowa padały w obecności Drągala, który jakby nigdy nie siedział sobie przed barakiem i strugał nieduży kijek, jak przystało na leniwego, dobrodusznego włóczęgę, za którego się podawał, przy czym z uśmiechem kiwał głową do każdego z nas, nie zwracając najmniejszej uwagi na rozgorączkowanego Jeffa.

Dan zmarszczył brwi i kręcąc głową, starał się nakłonić ojca do zmiany decyzji, ale bez powodzenia. Zresztą nic dziwnego, skoro Jeff wydał to polecenie w sposób tak obcesowy i w dodatku na oczach Drągala.

– Posłuchaj, ojczcie – nie ustępował Dan. – Ten oto Drągali przebywa na ranczu z korzyścią dla nas, i każdy dobry gospodarz wołałby z pewnością zwolnić trzech pracowitych kowbojów niż kogoś takiego jak Drągali. On od tygodni co wieczór poprawia nam humor!

– Co słyszę? Potrzeba wam poprawy humoru?! – zawołał Jeff. – Już ja was rozweselę! A może mam jeszcze sprowadzić dla was chór minstrelów¹? Powiem ci, co masz zrobić, Dan. Wyrzucisz tego próżniaka natychmiast na zbity łeb, albo... sam się stąd wyniesiesz!

Buch! Jego słowa miały moc potężnego ciosu. Obaj Porsonowie słynęli z krewkiego usposobienia, a krew w żyłach Dana buzowała w nie mniejszym stopniu niż u jego ojca.

Tak więc Dan zerwał z głowy kapelusz i cisnął nim o ziemię.

– Jeśli odejdę z rancza, już tu nie wrócę!

¹ *Minstrele* – w średniowiecznej Europie (XIII i XIV wiek) śpiewacy i recytatorzy poezji, przebywający na dworach lub wędrujący od miasta do miasta, wywodzili się m.in. spośród zawodowych nadwornych „zabawiaczy”: śpiewaków, akrobatów, błaznów i in. W Polsce znani też jako rybałci.

– I bardzo dobrze, nie wracaj. – Jeff machnął ręką.

– Taki właśnie mam zamiar – odparował Dan.

– Proszę zaczekać, panie Porson – wtrącił się nieoczekiwanie Drągal. – Niech się pan zachowa rozsądnie, nie wygania syna z mojego powodu! Jeśli tak być musi, jestem gotów wynieść się stąd w jednej chwili.

– Drągalu, jeśli wyjedziesz, to tylko razem ze mną! – zawołał Dan, rozsierdzony już nie na żarty.

– Krzyżyk na drogę! Kto mówi, że chcę, abyś został?! – zawołał Jeff. – Nawet wolę, żeby cię tu nie było. Wolę już znaleźć na mojego następcę prawdziwego mężczyznę!

– A ja wolę pracować dla prawdziwego mężczyzny niż dla ciebie – odciął się Dan.

Sprawy przybierały z każdą chwilą coraz gorszy obrót. Każdy z nas dałby wiele, aby rozładować nieprzyjemną sytuację i zażegnać ostry konflikt rodzinny, ale nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób pojednać obu narwańców. I tu nieoczekiwanie pomógł nam przypadek. W pewnej chwili na szczycie pobliskiego wzgórza pojawił się jeździec, młody Meksykanin. Kierując się w naszą stronę, krzyknął z daleka:

– Hej, gringos!¹

Jego tupet omal nie zwałił nas z nóg. Niech sobie Meksykanie nazywają nas tak, kiedy są wśród swoich lub w ogóle u siebie, we własnym kraju. Ale jeśli jakiś meksykański wyrostek odzywa się w taki sposób, podjeżdżając do *naszej* grupy, to już jest szczyt beczelności!

„Mańkut” Guinness zdjął z głowy kapelusz i kpiącym gestem skłonił się przed Meksykaninem, który ostro osadził konia przed nami.

¹ *Gringo* – początkowo nazywano tak w Hiszpanii i w Ameryce Łacińskiej ludzi, którzy nie mówili po hiszpańsku; od XIX wieku zaczęto (głównie w Meksyku) odnosić to miano (z pogardliwym wydźwiękiem) do przybyszów lub turystów z terenu Stanów Zjednoczonych

– Czym możemy panu służyć, señor? – zapytał nieznajomego.

– Czy jest tu może niejaki Dan Porson? – zapytał pyskаты młodzian.

– Tak, to ja – oświadczył Dan. – O co ci chodzi?

– To nie ja mam sprawę, lecz pewien człowiek – odparł tamten. – Czekaj na pana za tamtym wzgórzem, mówi, że to ważne. Nazywa się Tom Acker i chce spotkać się z panem sam na sam.

Tego jeszcze brakowało! Najpierw zwada między ojcem i synem, a teraz jeszcze Tom Acker żądny krwi Dana!

Ale cóż? Nie mogliśmy przecież wziąć sprawy w swoje ręce i wspólnymi siłami przegnać Ackera. Nie, w żadnym razie, bo wtedy wyszłoby na to, że Dana Porsona obleciał strach, a taka niesława zniszczyłaby mu życie raz na zawsze.

Mieliśmy wszyscy dobre chęci, rwaliśmy się wprost do tego, by coś zrobić, nie pozostało nam jednak nic innego, jak tylko usunąć się na bok i pozwolić Danowi załatwić sprawę po swojemu.

Na szczęście przynajmniej jeden problem spadł nam dzięki temu z głowy: ów idiotyczny spór pomiędzy ojcem i synem został zażegnany i zapomniany.

– Musisz wiedzieć, synu, że nikt na tym bożym świecie nie będzie mógł cię potępić, jeżeli każesz Tomowi Ackerowi iść do diabła – powiedział Jeff Porson. – To nie wstyd unikać walki z takim osławionym rewolwerowcem i zabijaką.

A Dan odparł:

– Może istotnie nikt by mnie za to nie ganił, ale ja sam wyrzucałbym sobie tchórzostwo. Pójdę tam, stawię się na spotkanie z Tomem Ackerm.

Na twarzy Jeffa pojawił się dziwny grymas. Nagła bledność zdradzała lęk o syna, ale jego mina wyrażała też dumę z Dana, który przecież przemówił jak odważny junak, gotów stanąć do decydującej rozgrywki. Czuliśmy tak samo: to jasne, że ów Acker



Kiedy znalazł się na szczycie wzgórza – wysoka sylwetka
na tle pomarańczowego wieczornego nieba – zatrzymał się.

zabije biednego Dana, nie może być inaczej! A jednak wiedzieliśmy też, że chcemy, aby Dan mimo wszystko stawiał tamtemu czoło, nie uchylał się przed walką.

– Z jego strony to absolutnie nie w porządku, że każe ci pójść za wzgórze – odezwał się nieoczekiwanie Drągał. – Dlaczegoż to Tom Acker nie miałby spotkać się z tobą w połowie drogi? Zgoda, on nie musi przychodzić aż tutaj, ale równie dobrze ty nie musisz pędzić aż tam. Najlepsze miejsce na wasze spotkanie to połowa drogi, a więc szczyt wzgórza.

Młody Meksykanin, nie tracąc czasu, gnał na koniu pod górę, aby jak najprędzej przekazać Ackerowi, że Dan stawia się na wezwanie, a ja wyobrażałem już sobie tę scenę: obaj przeciwnicy zbliżają się do siebie, nagle osadzają konie w miejscu, błyskawicznie dobywają broni, rozlega się huk wystrzału i Dan zsuwa się z siodła na bok – martwy.

Na samą myśl o tym robiło mi się słabo, czułem, jak nogi uginają się pode mną.

Dan zdawał sobie sprawę, że nie ma wyjścia; widziałem to wyraźnie. Twarz miał teraz szarą jak popiół, a raczej szarą jak głaz, bo wyglądała w tej chwili jak wykuta z kamienia.

– Zaczekaj chwilę, Dan – odezwał się Drągał – a ja pójde za to wzgórze i może zdołam przekonać Ackera, że byłoby dla was lepiej spotkać się w połowie drogi.

Bez dalszej zwłoki ruszył przed siebie, a kiedy znalazł się na szczycie wzgórza – wysoka sylwetka na tle pomarańczowego wieczornego nieba – zatrzymał się, skręcił sobie papierosa i zapalił, po czym zniknął za krawędzią wzniesienia, zostawiając za sobą obłoczek dymu.

Czekaliśmy. Zaległa cisza, ciężąca nam jak nieznosny balast i tak dręcząca, że przerwał ją w końcu Mańkut. Zaczął nagle opowiadać, ile wysiłku kosztowało go wyciągnięcie krowy za ogon

z bagnistego bajorka, w które wpadła dziś rano, a myśmy udawali, że słuchamy go pilnie, bo wszystko już było lepsze niż ta okropna cisza.

A potem rozległ się huk wystrzału – *peng!* – i zadudniło mi w głowie, jak od uderzenia młotem. Tuż po chwili padł drugi strzał, po którym zza wzgórza dobiegł nas jedynie tętent kopyt konia pędzącego dokądś wyciągniętym galopem!



Rozdział IV

Wypadek Ackera

iedzieliśmy wszyscy w milczeniu, pełni trwogi. I wreszcie Dan Porson pierwszy zdołał ująć w słowa to, co natrętnie chodziło nam po głowach:

– Jeśli to Drągał zmierzył się z nim i wziął na siebie pisany mi los...

Tylko tyle powiedział, a raczej wycodził przez zęby, ale i tak wiedzieliśmy doskonale, co miał na myśli. Gdyby miało się okazać, że Drągał naprawdę padł ofiarą tego oburęcznego rewolwerowca Toma Ackera, on, Dan, zamierzał wyruszyć za Ackerm i policzyć się z nim jak należy!

Na to faktycznie wyglądało, bo ruszył właśnie w stronę stajni, zapewne po konia, gdy raptem na wzgórzu ujrzałem coś tak dziwnego, że zaparło mi dech. Pojawił się bowiem sam wielki Tom Acker! Dosiadał pięknego, żwawo kroczącego myszatego folbluta¹. Cztery czarne, lśniące jak jedwab skarpetki na pęcicach, czarne jak sadza ubarwienie pyska i czarny pędzelek jako zakończenie ogona dopełniały zachwycającego wyglądu klaczy. Doprawdy, piękniejszego konia trudno złowić okiem, nawet błądząc po całej okolicy przez cały rok!

Jeździec kierował nim samymi kolanami, prawą rękę trzymał wysoko w górze, przechylając ją nieco na bok i obejmując w nadgarstku lewą dłoń. Tuż za nim stąpał powoli, lecz zamaszystym krokiem, Drągał, a kiedy obaj zeszli ze wzgórza, zbliżając się do nas, wydało mi się, jakbym miał teraz przed oczami

¹ *Folblut* – rasowy koń pełnej krwi angielskiej.

wychudzonego starego byka kroczącego za wielkim kuguarem¹ – to wrażenie potęgował zwłaszcza Tom Acker, tak wyraźnie emanowały z niego bowiem energia, wdzięk i groźna siła.

Drągał cały czas kręcił głową, jakby nie potrafił czegoś pojąć, a w pewnej chwili zawołał do nas jeszcze z daleka:

– Acker miał pecha, niechący sam się postrzelił! Ale nie zrobił sobie nic złego. Dan, może by któryś z chłopców skoczył do domu i przyniósł coś, żeby opatrzyć mu ranę.

„Stary” Jeff Porson sam pośpieszył do domu, a niebawem podjechał do nas wielki Tom Acker. Siedział w siodle wyprostowany, dumny niczym król, ze śniadą, przystojną twarzą zwróconą gdzieś przed siebie, w dal; zdawał się przy tym nie widzieć nikogo z nas, jakbyśmy byli powietrzem.

Podążaliśmy za nim niemal w milczeniu, oszołomieni takim obrotem sprawy, ukradkiem spoglądając po sobie. Zanim dotarliśmy na miejsce, Acker wchodził już do domu, gdzie miano mu zabandażować rękę, a Dan Porson ruszył za nim. Drągał został z nami i zaczął opowiadać, jak doszło do wypadku.

– To najbardziej cudaczna rzecz, jakiej kiedykolwiek zdarzyło mi się doświadczyć – powiedział, kręcąc głową i otwierając szerzej oczy. – Kiedym wjechał na wzgórze, ujrzałem, jak ów meksykański chłopak mówi coś do Toma Ackera, a ten raz po raz wzrusza ramionami, z taką odpychającą miną. Podjeżdżam więc bliżej i powiadam: „Słuchaj, Tom, może by było lepiej rozegrać to wasze spotkanie na szczycie wzgórza, tak aby inni mogli zobaczyć, czy wszystko odbywa się jak należy”.

Wtedy on odwrócił się trochę w siodle i ryknął na mnie: „Kto śmie twierdzić, że zamyślam jakieś kręctwo i śliską grę?! Może

¹ *Kuguar* (także puma) – gatunek drapieżnego ssaka z podrodziny kotów (*Felinae*), zamieszkujący Amerykę od Kanady po Patagonię, największy przedstawiciel małych kotów oraz piąty co do wielkości kotowaty na świecie po tygrysie, lwie, jaguarze i lamparcie.

ty?!”. Przy tych słowach dobył broni, pewnie aby zadziwić mnie i nastraszyć, a uwierzcie mi, zrobił to piorunem. Nigdy nie widziałem czegoś takiego! Niech to diabli, nie zdążyłbym nawet mrugnąć okiem tak szybko, jak on wyczarował tego wielgachnego colta! Nielicha sztuczka! No, ale miał przy tym pecha, bo zahaczył rewolwerem o rękaw kurtki – jeden z tych przypadków, jakie przytrafiają się nawet najlepszym, choć tylko raz na milion – i broń wypaliła z tak silnym odrzutem, że cyngiel walnął go w rękę, zostawiając głęboką i tak szpetną ranę, że trudno ją sobie nawet wyobrazić! Potem colt wypadł mu z dłoni, uderzył o ziemię i wypalił ponownie – *peng!* – bo miał taki diabelnie czuły spust, wiecie?

Kiedy Drągał skończył swoją niesamowitą opowieść, jeden przez drugiego zasypaliśmy go pytaniami, on zaś chętnie na nie odpowiadał, prawie tak szybko jakśmy je zadawali, dopóki w pewnej chwili drzwi domu się nie otwarły, a w progu stanęli obaj Porsonowie i Tom Acker.

To było naprawdę coś, móc wreszcie popatrzeć z bliska na tego osławionego Ackera. Robił wrażenie, to pewne! Szczupły, barczysty, z głową osadzoną z wdziękiem na szlachetnie uformowanej szyi, o ruchach tak sprężystych, że mogły przywodzić na myśl wierzbę drgającą lekko na wiosennym wietrze. Gapiłem się na niego z podziwem, ale wyglądało na to, że on wcale nie jest sobą zachwycony. Usta rysowały się w jego twarzy cienką białą smugą, tak mocno zaciskał wargi, a jego oczy iskrzyły groźnie, jakby kryły w sobie płomień, który – raz uwolniony – gotów jest strawić w mgnieniu oka ludzkie życie.

Tom Acker podszedł do swojej myszatej ślicznoty i ledwo musnąwszy lewą dłonią kłęb klaczy, zwinnie, lekko jak ptak frunął na siodło, przy czym trafił nogami w strzemiona z taką łatwością, jakby stopy były obdarzone oczami i potrafiły poruszać się samodzielnie, bez udziału jego umysłu.

Powiódł po nas wzrokiem i pochwycił cugle, a klacz natychmiast zwróciła ku niemu łeb, śląc w swym spojrzeniu zapewnienie o żarliwej miłości, jaką go darzy, a także, iż chętniej nosi na grzbiecie jego niż kogokolwiek, nawet gdyby mieli to być najznamienitsi królowie świata.

On natomiast nadal lustrował nas jednego po drugim, złowrogo i tak bacznie, jakby chciał zapisać sobie nasze twarze w pamięci już na zawsze.

Prawą dłoń, starannie zabandażowaną, przyciskał do piersi. Ale rana na jednej dłoni nie zamieniała przecież wielkiego Toma Ackera w niegroźną owieczkę! Chyba że to, co głosiły o nim wieści, nie odpowiadało prawdzie, a powiadano, że jego lewa ręka jest równie szybka i celna jak prawa!

Czy istotnie tak było, nie wiem. W każdym razie tego wieczoru nie wyglądał na faceta, który zamierza to udowodnić. Zwrócił się natomiast do Dana:

– Tyś jest Dan Porson, czy tak?

– Zgadza się – odparł Dan.

– A ja Tom Acker – oświadczył rewolwerowiec. – Dziś sprawy nie ułożyły się po mojej myśli, ale przyjdzie czas, że znajdę się znowu na twoim szlaku, Porson. Chcę, abyś to wiedział, zanim do tego dojdzie.

Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź, i nagle palcem wskazującym lewej ręki wycelował w Drągała.

– A z tobą, Drągału, chciałbym zamienić parę słów.

– Jasne – odparł przyjaznym tonem Drągał. Ruszył niezwłocznie, dotrzymując kroku myszatej klaczy niosącej na grzbiecie Ackera, który kierował się w stronę wzgórza, nie pożegnawszy się z żadnym z nas, nie dziękując nawet za troskliwe zajęcie się jego raną.

Kiedy oddalili się już na jakieś trzydzieści metrów, Acker zatrzymał konia i powiedział coś do Drągała. Nachylony do

niego w siodle, mówił szybko, gwałtownie, a Drągał, sądząc po jego gestach i po tym, jak wzruszał ramionami, zdawał się go za coś przepraszać.

Wreszcie Acker tknął konia ostrogami i pomknęli jak błyskawica. Oddalali się galopem, tak że jeszcze tylko przez chwilę widziałem grzywę i ogon klaczy, powiewające na wietrze, oraz Ackera; trzymał się w siodle z takim wdziękiem jak tylko jeden na dziesięć tysięcy jeźdźców to potrafi.

Z domu wyszedł akurat „Stary” Jeff Porson.

– Ciekawe, co taki łązega jak Drągał mógł zrobić Ackero-wi – mruknął.

– O co ci chodzi? To był zwykły wypadek – powiedział Dan. Wyglądał na markotnego, pewnie miał jeszcze żywo w pamięci słowa Toma. – Acker chciał napędzić Drągałowi stracha, sięgnął po colta, a ten niechcący wypalił. Wtedy cyngiel zranił go w rękę i tyle.

– Tylko tyle?! – zawołał Jeff. – Jesteś tego pewny? Cokolwiek się tam przedtem stało – dodał z osobliwym grymasem na twarzy – wystarczyło, aby przerazić tego pyskatego meksykańskiego młokosa na tyle, że dał czym prędzej drapaką. Zwykły wypadek z bronią nie przestraszyłby go aż tak bardzo!

Słowa Jeffa pozwoliły mi ujrzeć tamto wydarzenie w nowym świetle; również inni, starsi ode mnie i bardziej doświadczeni kiwali teraz głowami i spoglądali po sobie wymownie.

Po chwili wrócił Drągał. Jego szpetna twarz wydawała się teraz bardziej przekrzywiona w jedną stronę niż zwykle.

– Co do tych krwiożerczych narwańców – powiedział, podchodząc do nas – to nigdy nie można być pewnym, w jakim momencie rozeżłą się na amen! Może jesteście ciekawi, o czym Acker chciał ze mną pogadać?

Oczywiście wszyscy przytaknęli, zatem Drągał kontynuował:

– No, chodziło mu o to, że byłem tam akurat, kiedy przydarzył mu się ten pech, i po prostu dlatego uznał, że wszystko przeze mnie, niech go diabli! Mówi, że w takim razie musi się ze mną policzyć. *ZE MNĄ!* Macie pojęcie? Ale dlaczego? Co mu takiego zrobiłem?

– Dągalu, a skąd on w ogóle znał tak dobrze twoje imię? – odezwał się nieoczekiwanie Mańkut.

– Bom mu powiedział – odparł Dągal. – Kiedy już byłem na wzgórzu, pierwsze co zrobiłem, to się przedstawił. Jeśli spotykasz rewolwerowca, przede wszystkim warto mu się przedstawić, tak jest bezpieczniej. Dzięki temu nie zostaniesz zastrzelony przez pomyłkę. To po pierwsze. Ale w ogóle tak sobie myślę, że teraz będzie najlepiej, jeśli zabiorę swoje manatki i zniknę stąd, zanim ten Acker wróci z dwoma coltami żądny mej krwi i mnie wyzwie. Pójdę zwinąć mój koc. Och, nie, niech to diabli! Przecież nie mam żadnego koca! To nic, pójdę wyprowadzić tylko mego mustanga i w drogę!

– Idź do baraku i zwiń sobie koce, na których tu spałeś, Dągalu – powiedział Dan Porson. – Możesz uznać je ze swoje. Ale czemu chcesz wyruszyć na noc? Czemu w ogóle wyjeżdżasz? Cieszymy się przecież, że cię tu mamy. Brakowało by nam ciebie. I to bardzo!

– Ładnieś to powiedział – szepnął Dągal.

Odwrócił się i spojrzał na „Starego” Jeffa, a ten, z lekka przechyliwszy głowę, powiedział:

– Możesz iść do baraku i zwinąć sobie koce, są twoje, tak jak rzekł Dan. Ale nie chcę, abyś tu został. Coś mi się widzi, że przez ciebie mogłoby spaść na nas więcej kłopotów, niż mógłbyś się z nimi uporać.

– Co masz na myśli, przyjacielu? – wycodził Dągal.

– Sam na to wpadnij – mruknął Jeff. – Nie będę ci niczego wyjaśniał.

Drągał wzruszył ramionami i skierował się do baraku. Ledwie tam wszedł, na podwórzu zjawił się kucharz i zaczął bić w duży dzwon na znak, że nadeszła pora posiłku.

– Posłuchajcie, chłopcy – szepnęła Jeff Porson. – Ci z was, co chcieliby zobaczyć coś zabawnego, chodźcie ze mną. Ale spokojnie, cicho sza! Najlepiej ściągnijcie buty, bo inaczej się nie uda! A ty, mistrzu – zwrócił się do kucharza – nie przestawaj walić w dzwon, dzwoń ile wlezie!

Nim skończył mówić, ruszył w stronę baraku przy akompaniamencie ogłuszającego hałasu czynionego przez kucharza, a my wszyscy skradaliśmy się za nim na palcach.

Stanęliśmy przed drzwiami baraku i kiedyśmy zajrzeli w głąb mrocznej izby, ujrzeliśmy wysoką postać Drągała, nachylonego nad kocami, które dostał w prezencie na pożegnanie i składał teraz porządnie.

Jeff Porson machnął na nas dłonią, abyśmy się trochę odsunęli od progu, i zawołał:

– Rzuć broń, psuabracie!

I jednocześnie odskoczył przezornie na bok.

Wewnątrz baraku coś raptem mignęło mi przed oczami. To Drągał! Dotychczas uważałem go za najbardziej chyba ślamazarnego człowieka na świecie, bo tak się zwykle zachowywał. Gdy jednak rozległ się okrzyk Jeffa Porsona, ten niezdara błyskawicznie przemienił się w wielkiego, długonogiego kuguara. Jednym susem znalazł się w drugim kącie izby i padł plackiem na brzuch, tak mi się przynajmniej wydawało. Zanim jednak tam wylądował, jeszcze w locie migiem dobył colta i dał ognia, a kula ze złowrogim świstem przeleciała obok mnie, niemal mu-

snąwszy mnie po twarzy. Jeszcze dziś na samo wspomnienie tamtego momentu przechodzi mnie dreszcz trwogi.

Wszyscy stali w milczeniu jak odrętwiali. Piekielny dźwięk dzwonu wzywającego na posiłek umilkł natychmiast, gdy tylko rozległ się huk wystrzału, a wtedy zobaczyłem „Starego” Jeffa; kręcił i kiwał głową, jakby bardzo czymś ukontentowany.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!